

ciąg dalszy na str. 8

List Jana Pawła II z życzeniami wielkanocnymi do kardynała Wyszyńskiego

Wojemy Jagiellonię

Mogą białostocczanom w spo-
rym stopniu pomóc w tym k-

W przedświąteczną sobotę, 18 brn, piłkarze Jagielloni zagrają na Stadionie Gwardii w Białymstoku kolejny mecz o mistrzostwo II ligi. Tym razem przeciwnikiem biało-czerwonych będzie renowowany zespół Polonii Bytom. Znając sytuację Jagiellonii w II lidze potrzebna jej są koniecznie dwa punkty, a zatem powinna wygrać.

Ciąg dalszy ze str. 1

Krzysztof Pawlak, I sekretarz KZ w Łodzi, "Fonice", sprzeciwił się możliwości przeniesienia przez ustępującą władzę składu komisji wyborczych. Towarzysze z 43 zakładów, instancji i uczelni łódzkich opowiadają się za prawem do udzielania raz w roku wotum zaufania wszystkim organom wykonawczym, nie wyłączając Biura Politycznego. Uważają, że kierownictwo partii w Porozumieniu Gdańskim stanęło jako gwarant rządu, a nie społeczeństwa. Potępiają również fakt, iż do dzisiaj nie powołano nadzwyczajnej komisji do rozliczenia i osądzenia ludzi winnych nadużywania władzy oraz przestępstw gospodarczych i oczyszczanie się partii przebiega

Padali w Toruniu propozycje, by także w innych ośrodkach wprowadzić ten rodzaj gotowości podczas najbliższego Plenum, a także Nadzwyczajnego Zjazdu. Byłoby to gwarancją, że uchwały najwyższych władz nie rozminą się ponownie z oczekiwaniami szeregowych członków partii. Domagano się też, by przedstawiciele 14 ośrodków mogli być dopuszczeni na salę obrad plenarnych.

Uznano, aby usunąć z KC towarzyszy, którzy — lekceważąc leninowskie zasady więzi z masami członkowskimi — reprezentują już tylko siebie. Członkowie KC powinni na posiedzeniach reprezentować organizację zakładową i ruch partyjny, a nie wyłącznie własne poglądy.

nie dlatego, że jestem członkiem KC, bo ten mandat niedługo wygaśnie. IX Plenum sprawiło, że tendencje konserwatywne są w defensywie, możliwe stało się podpisanie Porozumienia Warszawskiego, a termin Nadzwyczajnego Zjazdu został wreszcie wyznaczony. Fakt, iż doszło do spotkania toruńskiego, też wynika z atmosfery po Plenum.

W związku z posadzeniem ruchu poziomego o frakcyjność tow. Werblan odpowiedział się za prawem do odmiennych poglądów. Teplenie myślenia inaczej jest praktyką stalinowską, bowiem Lenin był za jednością działania, lecz zachęcał do swobodnych dyskusji i różnicy zdań. Jedności partii nie da się zapewnić najsurowszymi sankcjami. W przyszłości, odróżnionej partii możliwa będzie pełna współpraca i dopełnianie się więzi poziomych z pionowymi. Pokój społeczny, przywrócony Porozumieniem Warszawskim, trzeba wykorzystać dla jak najlepszego przygotowania Zjazdu, co będzie miało decydujące znaczenie dla przyszłości Polski. Nie jest to możliwe bez udziału ruchu oddolnego, bez jego przemownego wpływu na bieżące decyzje kierownictwa PZPR.

Ryszard Łukasiewicz, uprzednio działacz młodzieżowy i publicysta, obecnie zaś zastępca kierownika Wydziału Organizacyjnego KC, podtrzymał poparcie dla więzi poziomych, widząc w nich istotny element ożywienia dyskusji przedzjazdowej. Nie ukrywał, iż istniały różne uprzedzenia, nie wolno jednak spychać ruchu oddolnego na pozycję frakcyjną. Służby to wyłącznie tym, którzy nie nie rozumieją z wydarzeń ostatniego roku, ale wręcz z utęsknieniem patrzą wstecz.

Więcej optymizmu znalazło się w wypowiedzi Wojciecha Lamentowicza z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych. Takie nastawienie wynika z faktu, że znalazł się o to ruch, który chce zniszczyć umiarkowane od lat struktury biurokratyczne, posiadające monopol na inicjatywę, wyznaczące kult hierarchii i pielegnację funkcji, które wspierała propaganda. Wezwał uczestników toruńskiego spotkania, by wysuwali najlepszych spośród siebie do władz i nie szli łatwo na ustępstwa. Ponadto, by domagali się pełnej odpowiedzialności za spowodowanie tragicznego kryzysu, za — jak to ujął mowa — masowe grabieże narodowego majątku. Trzeba przeorać strukturę klasową w Polsce, by nie była barierą postępu. Paradozem polega na tym, że jedni chcą władzy, ale nie reform, drudzy odwrotnie i bronią się przed zarzutami o frakcyjność nie chcą przejąć steru. Na IX Nadzwyczajnym Zjeździe powinno dojść do rozsądnego kompromisu i wiarygodnej kontynuacji władz partii zapewnił wybór 10-15 proc. obecnego składu KC. Tak odróżniona partia byłaby w stanie wyprowadzić kraj z kryzysu i nie narażał go na najpoważniejsze niebezpieczeństwa.

W dyskusji podkreślano również konieczność nowej formy autentycznego sojuszu robotniczo-chłopskiego, co oznacza prawo mieszkańców wsi do zrzeszania się w związkach zawodowych. Postulowano ograni-

czenie aparatu partyjnego, położenie kresu nieodpowiedzialności i arogancji władz.

Krytykowany z całą ostrością zakłęt rewiru w historii najnowszej, wskazywano, iż bez naukowego przedstawienia dzieł partii nie zrozumieć przyczyn powtarzających się napięć i kryzysów. Ruch robotniczy nie może być anonimowy — konkretni ludzie podejmowali decyzje, mieli też określone poglądy. Trzeba to wszystko wyciągnąć spod pokładów milczenia.

Ruch oddolny z wielu powodów nie wszędzie jest jednakowo rozwinięty. Stanisław Gębala, reprezentujący środowiskowy zespół do spraw dyskusji przedzjazdowej w Katowicach, wskazał m.in. na fakt, iż jest on hamowany przez instancje partyjne. Szczególną atmosferą na Śląsku (a nie da się długoletnich błędów wypłenić w jeden miesiąc) sprawa, że więzi poziome rodzą się niemiarko, napotykać na wiele oporów. Przynajmniej część aparatu nie kryje się z podejrzeniami, że demokratyczne wybory mogą wyłonić byle kogo, "gwiazdy jednego zebrania". Świadczy to o braku zaufania do mas członkowskich i do kontaktów poziomych, które poprzez poznanie się nawzajem zapobiegają przypadkowości i tępią partykularyzm.

Wiesław Jagodziński z Białegostoku wskazał m.in., że ruch oddolny i gorąca dyskusja przedzjazdowa ograniczają się do większych ośrodków i miast uniwersyteckich. Pilną potrzebą jest objęcie nimi wsi i małych miast. Inni zastanawiali się, jak obudzić z letargu niewielkie organizacje partyjne, jak przekonać wszystkich członków PZPR, że mogą mieć wpływ na kształtowanie narodowego losu.

By dopełnić informacji o udziale białostoczian w dyskusji: Konstanty Konecki przedstawił dorobek, a także kłopoty Forum Myśli Partyjnej, zaś Wacław Panas skrytykował m.in. politykę informacyjną.

Wobec dużej jednolitości i dojrzałości porozumień poziomych postanowiono kontynuować spotkania na szczeblu krajowym. Tylko w ten sposób można spełniać rolę opiniotwórczą czy korygującą nie tylko w sprawach lokalnych, ale i w zasadniczych dla naszej wspólnej przyszłości. Powołano 6 zespołów roboczych, złożonych z przedstawicieli poszczególnych ośrodków, którzy pracować będą nad przygotowaniem konkretnych zagadnień na spotkania plenarne.

Można tę relację zakończyć stwierdzeniem jednego z uczestników forum w Toruniu, że partia zaczyna żyć własnym życiem, a nie tylko uchwałami instancji. W każdym razie delegacja białostocka wychodziła znacznie pokrzepiona i bez kompleksów.

JAN KWASOWSKI

Bez owijania w bawełnę

Zbyt rzadko spotykaliśmy się z szeregowymi członkami

partii, a jeżeli to robiliśmy, to — jak to powiedział jeden z

dziennikarzy — górował nad tymi spotkaniami „bizantyjski”

protokół, który nie pozwalał na szczera wymianę myśli i

opini — stwierdził w trakcie dyskusji z aktywnym

partyjnym ŁZPB „Narew” I sekretarz KW PZPR w Łomży

Waldemar Szpaliński. Protokół tego zebrania zawierał już

tylko szczątki „bizantyjskości” — stół prezydialny, co też

zostało wypomniane, na zebraniu odbyłym na życzenie człon-

ków partii.

NAJPIERW ROZLICZĄ

Zebrania partyjne ostatniego okresu charakteryzował duch rozliczania, za nieudolność, wykorzystywanie władzy dla własnych celów, za marnotrawienie materialnego i moralnego dorobku. Spotkanie w łomżyńskiej „bawelnie” nie było pozbawione również tych akcentów, ukazując, że członkowie partii nadal nie są zadowoleni z realizowania tego powszechnego wniosku.

— Nie tylko ja — powiedział tow. Miszak — nie zgadzam się ze stwierdzeniami, że za błędy polityczne ponosi się wyłącznie polityczne konsekwencje. Tu trzeba znaleźć inne kary. Dam przykład. Parę lat temu przeczytałem w „Gazecie Współczesnej” sprawozdanie z pracy WKPP w Suwałkach czy w Białymstoku, która usunęła z partii czolowego działacza tylko za to, że syn wyciął mu numer i wziął ślub kościelny. Pana Jaroszewicza też usunęło z partii. Czy w obu przypadkach kara jest współmierna do przyczyny?

Do sprawy rozliczenia winnych za doprowadzenie kraju i państwa do obecnej sytuacji trzeba wrócić przed Zjazdem. Po to, by Zjazd nie odbywał się w atmosferze rozliczania ze starego okresu. Powinien być konstruktywny i programowy, uwiarygodnić działania władz partyjnych w stosunku do szeregowych członków. Nie chodzi przy tym wyłącznie o karanie, lecz o ujawnienie mechanizmów wypaczeń w sprawozdaniu władzy oraz o wyciągnięcie wniosków na przyszłość. Przebiegała ta opinia w innych wypowiedziach. Tow. Zebrowski zapytał I sekretarza KW wprost jak mógł pełnić jednocześnie cztery funkcje i gościć wynikające z nich obowiązki.

— Dla ścisłości — odpowiedział tow. Szpaliński — trochę więcej, bo I sekretarza KW, przewodniczącego WRN, posła na Sejm i przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Obrony, przewodniczącego Wojewódzkiego zespołu d/s samorządu robotniczego i szereg pomniejszych, które mniej

Ciąg dalszy na str. 6

Z podniesionym czołem

niemiawo, a kary są niewspółmierne do popełnionych czynów. Ostatnią szansą, nie tylko w tej sprawie, jest IX Nadzwyczajny Zjazd. Podobnie jak inni mówcy Krzysztof Pawlak proponował, by Zjazd odbył się w dwóch etapach: do końca maja — wybór nowego kierownictwa, w którym winni znaleźć się prawdziwi trybuni ludowi, mądrzy i nieskazitelnie moralnie, a następnie — wypracowanie programu. Organizacja partii „Foniki” podjęła uchwałę żądającą by na X Plenum KC usunąć z władz osoby odpowiedzialne za nadużywanie informacji i manipulowanie informacją i nadużywanie cenzury, która tylko w marcu br wstrzymała 36 poważnych ingerencji w „Głosie Robotniczym”.

Inni zabierający głos w dyskusji domagali się — w imieniu swoich organizacji i klubów porozumienia poziomego — by X Plenum ratowało wszystkie sprawy, których zaniedbano na poprzednim, wskazując na nieadekwatność jego uchwały w stosunku do przebiegu dyskusji.

Powszechnym aplauzem przyjęto informację I sekretarza KZ „Elmoru” z Gdańska, Adama Wendorfa o gotowości partyjnej. Otóż w czasie IX Plenum KC uczestnicy ruchu poziomego zgromadzili się w Stoczni Gdańskiej, mając przez cały czas łączność ze swymi reprezentantami — uczestnikami obrad. Bezpłatnie po ich przyjeździe z Warszawy odbyło się spotkanie z nimi i dyskusja na temat wyników posiedzenia KC.

W Toruniu zabrał też głos Zbigniew Iwanow, który od decyzji CKKP odwołał się do Zjazdu. W swoim wystąpieniu powiedział m.in., że organizacja partii „Towimoru” spodziewa się po X Plenum zmian personalnych i przyjęcia w pełni demokratycznej ordynacji wyborczej bez żadnych możliwości manipulacji. Członkowie władz partyjnych powinni być wybierani tak, by wiadomo było, kogo reprezentują, przed kim odpowiadają i kto ma prawo odwołać ich w każdej chwili. Muszą to być ludzie przede wszystkim kompetentni, a nie jak dotąd jedynie dyspozycyjni; ponadto wybyli partyjnych zabobonów, jak na przykład takich, że o sprawach partii mogą się wypowiadać tylko jej członkowie.

Konstytucyjne usankcjonowanie roli PZPR sprawi, że wszyscy Polacy są po trosze partyjni. Żadne z przedsięwzięć partii nie jest im obojętne. Iwanow skrytykował fakt, iż planarne posiedzenia władz odbywały się niejawnie, co jest uzasadnione w wypadku partii walczącej o władzę, ale nie rządzących. (Żądanie transmisji telewizyjnych i radiowych z obrad KC powtarzało się w innych wystąpieniach). Na koniec przestrzegając niektórych towarzyszy z władz przed gwałtownymi zmianami frontu przytaczając znane porzekadło o przyklepianiu się do okrętu.

Uczestnicząc w obradach Andrzej Werblan powiedział m.in., że krytyka pod adresem IX Plenum KC jest w dużym stopniu uzasadniona. Chce jednak bronić jej wyników — i to

Jeszcze chwila i białe czepki znajdą się na głowach dziewcząt.

W białych czepkach

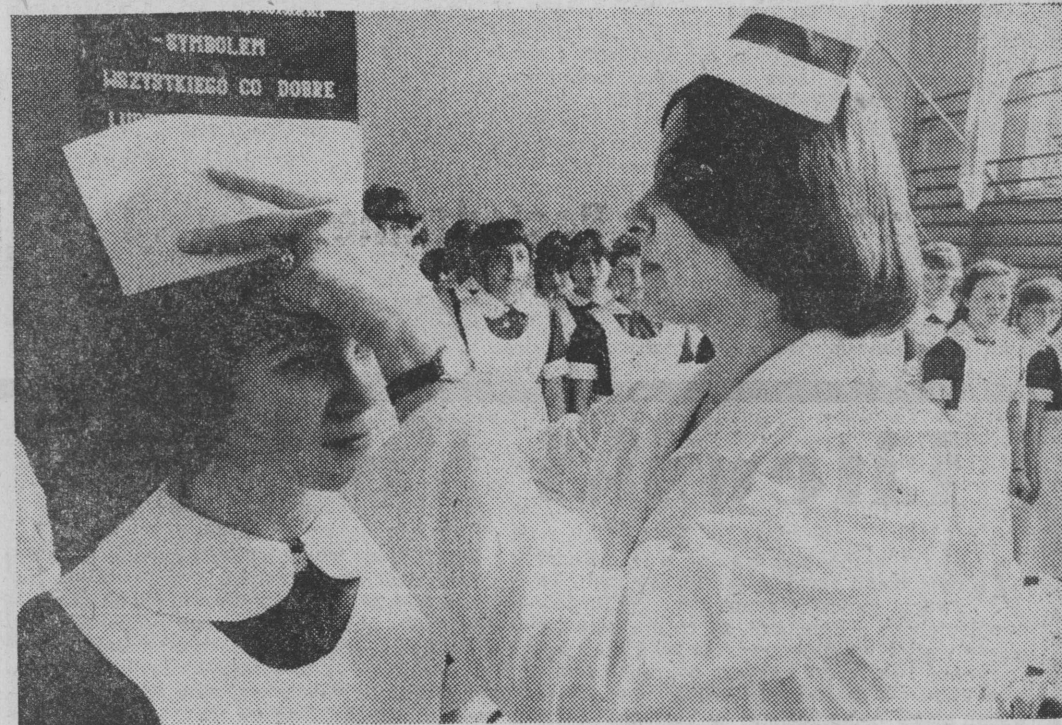
Siedemdziesiąt pięć dziewcząt II klas Zespołu Szkół Medycznych w Łomży otrzymało białe czepki pielęgniarskie, symbol podstawowego wtańczenia. Uroczystość, którą co roku, szczególnie starannie przygotowuje dyrektor szkoły — Jerzy Szymanowski, zgromadziła licznie przybyłych gości, przybyli rodzice dziewcząt.

Motto uroczystości brzmiało: „Działaj tylko dla dobra chorego, nie szkodzić, nie uśmiercać w żadnym wypadku, nie

zdradzać tajemnic chorego”. Hanna Gut — zwierzyła się nam, że już po naciąganiu czepka: „Ogromne przeżycie dla każdej z nas. Stałyśmy się pełnowartościowymi pielęgniarkami. Mnie zaimponowała starsza siostra, która jest też pracownikiem służby zdrowia. Może to zabrzmiało jak frazes, ale mną jak i większością moich koleżanek kierowało powołanie i... chęć noszenia ładnego, białego ubioru pielęgniarskiego”.

Tekst i fot. Gabór Torinecy

Najlepsza uczennica II klas Hanna Gut otrzymuje czepkę.



Ciąg dalszy ze str. 1

okazji, żeby powiększyć konto. W Białowieży — natłok myśliwych. I jakież przywołał z sobą zezwolenia na odstrzał!

Zezwolenie z dnia 1.11.1979 roku wystawione na nazwisko Władysława Juszkiewicza: jeleni selekcyjny — 2, ciętla — 2, kozioł selekcyjny — 2, dziki — 2.

Zezwolenie na to samo nazwisko z dnia 6 grudnia: jeleni (oksy, lanie, ciętla) — w sumie sześć sztuk, dziki — 4 (potem ktoś skreślił liczbę czterech i dopisał — „pięć”).

Zezwolenie na nazwisko byłego ministra Kultury Z. Najdowskiego z 7 grudnia 1979 roku: jelenie — 3, dziki — 2.

Zezwolenie dla Józefa Buzińskiego (były pierwszy sekretarz w Bielsku Białym) — to nazwisko w rejestrach białowieżskiego nadleśnictwa stało się często się powtarzało: stąd: jelenie — 2, dziki — 2.

Zwrócimy uwagę na kolor zezwoleń — te, na których wyszczególnia się większą ilość zwierząt są białe. Wystawiało je Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Druk zaczynał się od sformułowania: „Urzejmy powiadomiam, że upoważniam towarzysza do odstrzału...”. Zwrócimy uwagę na słowo „towarzysz”. Są też zezwolenia koloru żółtego i zielonego, które otrzymywali zwykli myśliwi z Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Białymstoku. Zwrócimy uwagę na słowo: „obywatel”.

Towarzysze — obywatel. Ktoś pisał, żeby przestrzegać takiego rozróżnienia. Żółte i zielone kartki — niższa kategoria zezwoleń na odstrzał — różnią się również

między sobą. Na jednym ilość zwierząt, na które wydano wyrok nie przekracza liczby dwóch, trzech, inne zakrętko liczbami pięć i więcej. Liczba, co charakterystyczne, jest uzależniona od nazwiska. Krótko mówiąc, myśliwy nosi po prostu gorsze lub lepsze nazwisko.

Czy to koniec różnic? O nie! Dyrektor Badyda (jak również dyr. Sosonowski, jego poprzednik) w wydawanych przez siebie zezwoleniach zwykle dokładnie określał, jaki rodzaj zwierząt myśliwy może upolować (w rubryce „dziki” pisało się na przykład — do dwudziestu kilogramów, do czterdziestu itd.). Takie adnotacje stosowało się nie zawsze. Znowu decydowało nazwisko. Masz dobre nazwisko — w rubryce „dziki” nie wpisujemy żadnych uwag, a to znaczy, że nie podlegasz niektórym przepisom łowieckim.

Jest przepis, który mówi, że „Nadleśnictwo zobowiązane jest sprawdzić, czy zwierzęta zostały odstrzelone zgodnie z wydanym zezwoleniem. W razie stwierdzenia, że dokonany odstrzał jest niezgodny z wydanym zezwoleniem Nadleśnictwo obowiązane jest wstrzymać wydanie trofeów, a tusze zwierząt przyjąć i dostarczyć do Punktu Skupu „Las” oraz żądać od myśliwego wniesienia opłaty według cennika zwierząt żywych.”

Pomyliłeś się i strzeliłeś nie to, co trzeba — Bieda. Zamiast wziąć pieniądze z kasy „Lasu”, trzeba by wyłożyć z własnej kieszeni. To jest granda i oszukanie. Wspólnie uznajemy, że niezgodność ze wszelkim przepisem trzeba ominąć. No i nie ma problemu! Skutkiem polityki przydziału nieograniczonych zezwo-

leń są określone szkody łowieckie, do których dyrektor Badyda nie chce się oczywiście przyznać. Szkody wynikają z tego, że myśliwy pozostawia bez kontroli strzelbę, a nie swierzyne, której jest w lesie za duzo.

Pamiętajmy, po co przyjeżdża się do Puszczy Białowieżskiej — czy dużo gotówki kryje się w jeleniu? Jest to parę tysięcy złotych, ale musi to być byk albo duża lania. Pamiętaj — strzelał tylko grubą zwierzynę.

„W ostatnich latach — czytamy w opracowaniu sporządzonym przez służbę łowiecką Puszczy Białowieżskiej — nastąpiło wyraźne i znaczne pogorszenie się jakości jeleni białowieżskich zarówno pod względem przeciętnego ciężaru tuszy jak i ciężaru wieńców”.

Czy te alarmy dyrekcji Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Białymstoku nie mówią? W fachowej literaturze łowieckiej czytamy: „Przewaga osobników młodych w populacji wpływa na zwiększenie się szkód w drzewostanach”.

Co tam szkody — liczy się uścisłki ręki prominenta! Najgorszy jednak los spotkał w Puszczy nie jelenie a dziki. Tu znowu posługiwano się zasadą: mały dziki — małe pieniądze, duży dziki... etc. Według fachowców od łowiectwa sześć-

dziesiąt procent wszystkich strzelonych dzików stanowiły winy warchlaki. Jak to wygląda w Puszczy Białowieżskiej? Otóż w całosci ubitych w ostatnich latach dzików warchlaki to zaledwie kilka procent (!) Główną za to masowo odrywa. Prawdziwego odrywa bardzo trudno już dzisiaj w Puszczy spotkać.

Dziki pustoszą pola chłopów, więc dobrze, że się ich dużo strzela — takie zdanie ma dyrektor Badyda. Po pierwsze — ile jest w końcu tych pól na obrzeżach Puszczy Biał-

Czy i te liczby, które przytoczyłem wyżej również dyrektor nie niepokoją?

Na sześćset siedem strzelonych w 1979 dzików, tylko dziesięćdziesiąt dziewięć (16 proc.) padło z ręki myśliwych dewizowych; zupełnie inne są proporcje, dotyczące na przykład jeleni byków — krajowcy strzelili ich tylko dwadzieścia sześć, dewizowcy — pięćdziesiąt pięć (około 70 proc.). Teraz już dokładnie wiadomo, komu chodzi o przyjemność w tropieniu zwierza i trofeum myśliwskie, a komu o mięso,

które można sprzedać po, powiedzmy, siedemdziesiąt złotych za kilogram... Padła w tym artykule liczba trzydziestu. Zastrzegam: nie jest to statystyka pełna, a poza tym rozłożona na lata nie obrazuje intensywności polowań w niektórych okresach. Dobrym określeniem do analizy jest przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy to obowiązywały nowe, podwyższone ceny skupu zwierząt łownych.

Jest więc styczeń — w ciągu kilku dni w słynnym obwodzie 130 w Puszczy Białowieżskiej poluje Władysław Juszkiewicz.

Dlaczego ten obwód jest słynny? Między innymi z powodu, że przez całe lata polował w nim jeden właściwie myśliwy, a czasami również jego goście. Dziwnie tu panowały zwyczaje: na

przykład wyjątkowo dobrze karmiło się zwierzyne. Dokarmia się ją przede wszystkim dlatego, żeby nie robiła szkód na polach. Obwód 130 jest akurat obwodem śródlasowym, a wysypywało się tutaj więcej paszy niż w obwodach sąsiednich, które graniczą właściwie z polami. Gdzie logika? Prawda jest taka, że nadleśniczy z Białowieży już w październiku otrzymywał telefoniczne ponaglenia...

Strażnikiem łowieckim w obwodzie 130 jest Jerzy Chlewicki. Jest to dobry fachowiec

i myśliwy, pod jego opieką można liczyć na sukces. Dlatego też Chlewicki zgromadził sporo dowodów zgodności. Jako jedyny ze służby łowieckiej w Białowieży otrzymał talon na samochód; przypięto mu też Srebrny Krzyż Zasługi.

Przez pięć styczniowych dni dziki żyły w wielkim strachu. I słusznie, o czym świadczyły obroty, jakie nótowały w tych dniach punktu skupu „Lasu” w Hajnowce. Konto myśliwego powiększyło się wówczas o około trzydzieści tysięcy złotych. Trzydzieści przez pięć to jest sześć.

Sześć tysięcy złotych — tyle było można zarobić dziennie. Padło dwadzieścia dzików; cztery dniennie — to jest dobry wynik.

Jak można go osiągnąć? Polowanie wyglądało mniej

wielej tak: popołudniem do Puszczy wpadała na dużej szybkości czarna lub szara „Wołga” (ciekawo ile też przez te lata nakreśliła kilometrów i kto za to płacił?) i od razu podjeżdżała pod karmowisko. Straż z odległości pięćdziesięciu, osiemdziesięciu metrów jest dziecinnie łatwy. Potem „Wołga” gnała w okolice następnego karmowiska. Jeśli wieczorny łup był niezadowolający, a myśliwy miał czas — zostawał na drugi dzień.

Leśniczówka na Podcerkwi — kraja o niej legendy. Na pewno można powiedzieć tyle, że remontowano ją pięćdziesięć lat w latach 1976-78, co kosztowało nadleśnictwo blisko milion złotych. Miała służyć myśliwym zagranicznym. Oczywiście ani jeden dewizowiec w niej nie noclegował. Nocował tutaj tylko największy myśliwy i jego goście. Ile było tych noclegów? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Nie sposób jest to ustalić, bo w leśniczówce, która zatrudnia specjalną portierkę nie prowadzi się książki meldunkowej. Koszt noclegu według cennika — trzydzieści złotych. Przez ile razy te trzydzieści złotych pomnożyć i kto powinien uściślić rachunek?

Strażnik i myśliwy stawali zgrana para. Oni byli bezprzeznaczeni i jedynymi gospodarzami fragmentu Puszczy Białowieżskiej, oznaczonego na mapach jako obwód 130. Każda próba ingerencji w ich gospodarstwo, kończyła się dla służby łowieckiej doświadczeniem po łapach: — Ja tu rządzą, ja decyduję. — I już nie było wstąpiłości, kto jest Panem. Służba łowiecka potulnie rezygnowała ze swoich uprawnień, a Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w

Białymstoku nie bronił swoich ludzi. Zarząd, wsłuchując się pilnie w głos Pierwszego Myśliwego, był zawsze do usług...

Czarna „Wołga” gonila po Puszczy, padaly strzały. Nikt nie wiedział, kiedy Pierwszy Myśliwy pojawił się w Puszczy i na co będzie polował. Nikt nie pytał czy posiada zezwolenie... Było i tak, że go nie mia! (Dowód: w dniach od 10 do 26 października 1979 roku strzelił trzy jelenie i dwa dziki, a kiedy wystawiono zezwolenie? 26 października dokonano i to, zauważmy, z adnotacją, że ważne jest od 10 października). Pod tym curiozalnym w dziejach myślistwa polskiego dokumentem podpisał się nie kto inny tylko dyrektor Badyda).

Nienormalne stało się normalne i nikt (nie mylić z NIK-iem) już się nawet temu nie dziwił. Nikt się nie oburzał...

Koszty hodowli zwierząt łownych (zakup paszy, wypłata odszkodowań chłopom, sąże służby łowieckiej), są bardzo wysokie i wynoszą — w zależności od rodzaju zwierzęcia — grubą i warunków środowiska — od kilku do kilkuset tysięcy złotych. (Dzik o wadze 50 kilogramów, kosztuje nadleśnictwa województwa poznańskiego i katowickiego — 5 tysięcy złotych). Kto ponosi koszty hodowli — wiadomo. Kto i wedle jakich zasad ma czerpać zyski z myślistwa? Pytanie to nie nosi tylko charakteru rozliczeniowego. Jest ono ciekawe i aktualne. To prawda, że po sierpniu strzelania w Puszczy nieco osłabła. Nie uciecha przecież zupełnie, a Wielcy Myśliwi jeżdżą do niej coraz śmielej.

ANDRZEJ RÓŻALSKI

Namiętności półbógów

W styczniu, przy okazji wizyty pracowników rozpo-
wszechniania, informowałem,
że resort w 1981 roku będzie
dysponował na zakupy w kra-
jach zachodnich kwota 3 mi-
lionów złotych dewizowych.
Można by za nie sprowadzić
ok. 45 filmów, gdyby nie fakt,
żé spośród zeszłorocznych 32
zapłacono jedynie za 17. Od
tego czasu sytuacja diabelnie
się pogorszyła. Pieniądzy na
zakup filmów w krajach kapi-
talistycznych praktycznie bio-
rać nie ma żadnych, nie widać
też nadziei, by się w najbliż-
szych miesiącach znalazły. Za-
kupiono od początku roku trzy
najtańsze tytuły, w tym dwie
komedie z L. de Funeseim.
Brak dewiz odbija się również

Fabryka pisanek

Mama jajka pisała, babci. Ciągła się ten wielkanocny rytuał w rodzinie Krystyny Cieślukowej od niepamiętnych czasów, bo tradycje malowania jaj, które potem zwano pisanymi, sięgają albo pisanekami, sięgają bodaj wieku XVIII.

Panny celebrowały ów świąteczny obyczaj z pobożnym, przystojnym po dwadzieścia i więcej jaj, a potem dawały chłopcom. Interes nie był, bo za najładniejsze wzory, najwięcej pierników i słodczych się dostawało. Spisywała Cieślukowa wszystko to, co na temat pisanek w pamięci lipiejskiej siostry zostało. Dobrze, bo niektóre zwyczaje już tylko w kronikach przetrwały.

Chodzili chłopcy od domu do domu, pod oknami śpiewali. Najmłodszy składał życzenia i intonował: „Gospodarzu, gospodarzu nasz drogi szafarzu, przysłaż Wielkanocka, czy możemy wam zaśpiewać i dom rozświetlić?” Potem pieśni chorem już po wsi rozbrzmiewały. Gdzie w domu panny — tam „Hej wino, wino”, „Dobry wieczór panienczko”, „Cienka karnielka”, całe bogactwo melodii ze sobą nieśli. Zyczyli do bogiego męża, chłopców do wyboru i pod dostatkiem, żeby się w domu rodzilo, żeby dziewczyna bogata była. O sobie przy tym nie zapominali: „Sobie nam panna na przyszły rok po kopie jaj dała i niech cię Bog broni od skapstwa. Obiadajmy jajkami na handel późnej zali, bo i w ludowych obrzędach o interes trzeba dbać.

Krystyna Cieśluk pamięta nowe, powojenne czasy. „Karnielka” śpiewali i u niej, w czterdziestym ósmym roku. „Wiedzieliśmy, że po wojnie od domu zaprosi, obowiązek — nie powiem — przyjemny. Od malowania człowiek przywykał do tych wielkanocnych wizyt. Pamiętam, jak dzieci zbierały się grupkami, chodzili z koszykami od domu do domu: „przysyłajmy po wódcę”, mawiali od progu, a i dziś się zdarza, że do nas zawitają. Już nie od chaty do chaty ciągną, a od domu do domu z elegancką fasadą, bo Lipsk nie ten sam, co dawniej. Gminy i murawny.

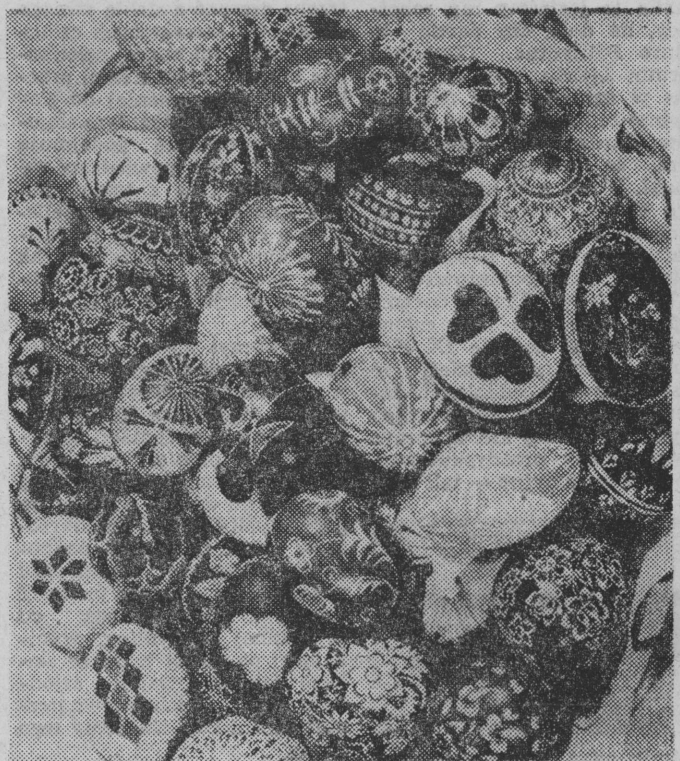
Region północno-wschodni, a w nim Białostocka, przyległości, z dawien dawna z pisanek był znany. Zasada malowania stara: wosk, szpileczka krawiecka z główką, sprawne ręce i trochę dobre go gustu. — „To nie jest trudne — uprzedza pytanie Cieślukowa. Nakładam na jajko wosk cienkimi pasekami. Jeśli pisanek ma być jednokolorowa — piszę szpileczką całą wzór i wkładam do farby. Potem ogrzewam jajko i ścięram wosk. W jego miejscu zostaje trwałe całe rysunek. Jeśli pisanek ma być dwukolorowa, piszę następnie na pierwszej farbie i wszystkie czynności powtarzam. Taką dwukolorową robię w pięć-sześć minut, a robiłam już nawet sześciokolorowe.

Wzorów jest tak dużo, że mogę opisać sto jajek i nie powtórzę się ani razu. Wychozą z tego dzierzki (dawniej „jelki”), gwiazdy okragłe, „salaczki”, kółeczko łanucha, zygizaki. Z farbami teraz prosta sprawa. Chemia daje „lilejki”, malinę, zieloną, turkus. Kiedyś nie było tak łatwo. Najstarszym sposobem kolor uzyskać można było z kory młodej olchy lub zendry, zdartej z zardzewiałego żelaza. Barwy żółte aż do ciemnobrunatnej dawały łuski cebuli gotowane w wodzie. Szary mech rosnący na konarach od północnej strony gotowany w wodzie, dawał odcienie szaro-zielone. Żółto-żółte, słoneczne kolory pochodziły z rumi żyta ciekawo posiekanej, tłuczonej i gotowanej.

Niewiele więcej jest tajemnic owego „alchemicznego” warsztatu, z którego w cały świat jadą bajeczne pisanek. Odbiera je na ogół „Cepelia” w pudełkach po dwadzieścia jaj z których każde inne. U Cieślukowej wielkanocne malowanie trwa na okrągło przez cały rok. Nawet w lutym dwa pokoje zastawione pudełkami i wytłaczankami z których wygląda 2200 pisanek. Ten zapas pojechał już dawno do Szwajcarii, RFN, USA, Kanady, Francji, ZSRR... Latwiej wymienić miejsca, do których jeszcze nie trafił.

Pisanek Cieślukowej pływają na statku „Lipsk nad Biełorzą”, zdobią wnętrza ambasady, uatrakcyjniają ofertę Cepelii i Międzynarodowych Targów Poznańskich. Na Jarmarku Kaziemierskim przyciągają nawet Murzynów i Chinczyków. Od 1969 roku, gdy Cieślukowa dostała I nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Sztuki Ludowej, zainteresowanie stało się rosnące. Korespondenci dzieci ze szkół podstawowych z Rudy Śląskiej. Chęć zorganizować kącik pisanek. Redakcja „Panoramy Polskiej” zamierza sфотографować dywan z kolorowych pisanek, który trzeba będzie ułożyć w pokojach. Muzeum Etnograficzne w Krakowie współpracuje z Krystyną Cieślukową od lat, podobnie jak Instytut PAN z Krakowa i warszawski Instytut Badań Naukowych. Widać pisanek nie tylko cieszą oko, ale stanowią też wspaniałe tworzywo teoretycznych badań ludowego rękodzieła.

— „Miałam gości z Włoch. Nawet ten mnie odnalazł — wspomina Cieślukowa. W gorące wodzie kąpani. Tylko zobaczył i od razu sto złotych wyciąga, bo chce mieć jedno jajko. Te pieniądze nie znaczą — mówi, a pamiętka to jest coś”. I tak na okrągło: przyjeżdżają, piszą, podpatrują, interesują się. Cały dom



tym żyje. Nic dziwnego, że dzieci też się za malowanie wzięły. Szczególnie córki: Barbara i Małgorzata już się przekonały, że przy koronkach, serwetkach, (bo tkanie i wyszywanie nie jest u nich czymś niecodziennym) wreszcie przy pisaniu jaj, znakomicie się wyczuły. — „Prawda, że trudno sobie to wyobrazić, jeśli co rok trzeba przygotować z pięć tysięcy pisanek. Chciałam się nawet przekonać na jakim rekord mnie stać. Siadłam kiedyś na osiem godzin bez jedzenia, bez picia i zrobiłam 107. Córki w tej konkurencji prawie takie same dobre. I fama w świat idzie. Po artykule ze zdjęciami chłopak z Aleksandrowa Kujawskiego napisał. Pisanek mu się podobały, a córka jeszcze bardziej.

— Ta popularność uciążliwa jest ale i przyjemna. Zawsze przed świętami z pięćdziesiąt widokówek kupuje. Ma się rozumieć z moimi pisanekami, interesują się. Cały dom

znajomych, a i tak większość zjeżdża z całej Polski, bo woli ją prawdziwie niż fotografowane.

— Oczywiście cała ta robota musi być trwała. Zawartość skorupki trzeba usunąć. Dawniej wypijaliśmy tyle, że teraz na jajka już patrzeć nie możemy. Ostatnio odebrała partię z wylęgarni, co do wylęgu się nie nadawała i jak tylko czas pozwoli siada i w kolory je ubiera. A czasu mało, coraz mniej. Cieślukowa suwalskiemu Oddziałowi Stowarzyszenia Twórców Ludowych przewodniczy i w lipskim muzeum oprowadza, i zajęcia dziecięcej sekcji plastyczno-folklorystycznej GOK prowadzi. — W każdym miesiącu zapoznajemy dzieci z innym rodzajem sztuki ludowej. W marcu robiliśmy bajki, o takie, jakie przy moim żyrandolu wiszą. W kwietniu pisanekstwo, bo na czasie. Niech najmłodszy z tych tradycji rośnie.

ANDRZEJ POLAKOWSKI

Ze wszystkich zobowiązań umowy społecznej i z 10-punktowego programu rządowego, problem mieszkaniowy jest najtrudniejszy do rozwiązania. W tej chwili — o czym mogliśmy się przekonać także z przebiegu ostatniego posiedzenia Sejmu PRL — nie stać naszej gospodarki narodowej na taką działalność inwestycyjną, która by w krótkim czasie przyniosła odczuwalną poprawę sytuacji mieszkaniowej.

Z tej obiektywnej prawdy nie wynika jednak, że na kryzys mieszkaniowy nie ma w bieżącym pięcioletniu rady. Człowiekowi to bowiem dalsze wydłużanie się spóldzielczych kolejek i dalszy regres w infrastrukturze społecznej, a tym samym — powolny otwarcie — pogłębianie już obecnie dramatycznej sytuacji mieszkaniowej dziesiątków i setek tysięcy rodzin.

Co zatem należy robić, żeby w najbliższych latach dać mieszkańcom najobardziej potrzebującym? Co trzeba zrobić, żeby wyrwać budownictwo z obecnego marazmu i pchnąć je na drogę takiego rozwoju, aby wreszcie hasło: mieszkanie dla każdej rodziny przestało być pustym frazesem?

Pytań jest wiele, na które trudno odpowiedzieć nawet specjalistom. Wciąż zmieniają się programy, rodzą nowe opracowania i koncepcje, a na placach budowy czas ucieka. Wprost na skandal zakrawa fakt przekazywania Białostockiej WSM przez budowlanych w I kwartale zaledwie 3,9 mieszkań, w tym w Białymstoku — 135, na planowanych w tym roku 2,955 mieszkań. Pod znakiem zapytania stoi więc realność nowych zasad rozdziału mieszkań.

Pod społeczną kontrolą

A właśnie rządowy projekt zmian w polityce mieszkaniowej na bieżące pięcioletnie zawiera istotne decyzje, mogące w obecnej sytuacji wpłynąć na poprawę w zaopatrzeniu potrzeb mieszkaniowych ludności. Chodzi tu zwłaszcza o pozostawienie w szóstych latach budowlanych przez BSM

spółdzielczości mieszkaniowej. Rośnie więc rola samorządu spóldzielczego, który powinien być społecznym rzecznikiem interesów członków i kandydatów. Sadzę, że istnieje potrzeba odnowienia składu większości obecnego samorządu, także osiedlowych, w praktyce nie lub prawie nie robiących, lecz zajmujących się drobiazgami. Do samorządów — w miejsce pseudodziałaczy — powinni wejść ludzie energiczni, znający się na problematyce budowlanej, cieszący się uznaniem ludności.

Dokonująca się w kraju odnowa wymaga zmian w sposobach i operatywności spóldzielni mieszkaniowej, w czym zasadnicze znaczenie ma należąca kontrola nad jej działalnością. W zasadach polityki mieszkaniowej uwzględniono kilka rozwiązań, o których od lat mówią społeczeństwo. Na przykład nie ma w naszych województwach ani jednego osiedla, na którym nie byłoby założeń w infrastrukturze społecznej. Trzeba wreszcie przerwać jałowe dyskusje, wziąć się do budowy ziółków, przedszkoli, pawilonów handlowo-usługowych. Należy zaniechać budowy tzw. mieszkań rotacyjnych, to jest małych, a budować mieszkania dostosowane do rzeczywistych potrzeb ludności. Trzeba — w trosce o jakość — zaniechać przekazywania mieszkań do wykończenia przez zakłady pracy i innych podmiotów, przywrócić nadzór inwestorski, wzmocnić kontrolę nad programowaniem, projektowaniem i wykonaniem. Tylko takie i inne starania mogą przynieść w rezultacie poprawę warunków zamieszkania.

Odwrot od odwrotu

Rzecz zrozumiała, że sama spóldzielczość mieszkaniowa nie rozwiąże problemu. Zależy natomiast od budowlanych poprawa sytuacji mieszkaniowej, potrzebne są szersze zakrojone działania. Stąd też istotne znaczenie ma przywrócenie budownictwa komunalnego (dawniej kwaterekowego), skupienie większych nakładów i sił na remontach starych zasobów mieszkaniowych, wygospodarowanie lokal z nadmiernie rozbudowanych

Komu mieszkanie?

dzelnie do ich bezpośredniej dyspozycji. Bardzo ważne to postanowienie. Nie ulega wątpliwości, że gdyby oowazywało ono i było przestrzegane w minionym dziesięcioleciu, sytuacja w spóldzielczości mieszkaniowej nie byłaby dziś tak ponura. Jest pewne, że tysiące białostockich, suwalskich i komżyskich rodzin zarejestrowanych i o placach w swych spóldzielniach już dawno mieszkaliby w nowych domach.

Niestety, spóldzielnie budowały, lecz mieszkania otrzymywali ludzie spoza kolejek. O toż w latach 1971—80, z ogólnej liczby wybudowanych w kraju ok. 1,300 tysięcy mieszkań, członkowie spóldzielni otrzymali tylko 550 tysięcy mieszkań, gdy zakłady pracy — około 440 tys. spóldzielczych mieszkań, a razem z budownictwem własnym około 800 tysięcy mieszkań.

Ile więc mieszkań otrzymywali spóldzielcy z własnego budownictwa? Według danych statystycznych 60—70 procent, lecz według spóldzielców, m.in. prezesów WSM w Białymstoku — Jana Kalinowskiego i Zenona Masalskiego zaledwie 40—50 procent.

Raczej ta druga odpowiedź bliższa jest prawdy. Administracja państwowa i zakłady pracy zbierały większość zbudowanych przez spóldzielnie mieszkań. W różny sposób i na różne cele: pod wyburzenia, dla specjalistów, na losowe wypadki itd. Na przykład, na Białostoku, po wyburzeniach, wprowadzono 150 rodzin. Czyli nie spóldzielnia BSM, ale administracja dysponowała nowymi mieszkaniami. Na przykład uchwałą rządu ok. 300 mieszkań przyznano dla „Unitra-Biaze”. Czyli nie było to — jak fałszywie głoszą — budownictwo zakładowe, lecz spóldzielcze, wzniesione kosztem spóldzielców.

Przykłady można mnożyć także z województwa łomżyńskiego, a zwłaszcza suwalskiego i z samych Suwałk. W licznych wypadkach dostawali mieszkania nie ci, którym się należały, lecz ci, którzy mocą uchwały, przywilejów i kumoterstwa mieli tzw. siłę przebiecia.

Były też i inne przyczyny wydłużania czasu oczekiwania na przydział spóldzielczego mieszkania. Jedną z nich — co wiąże się z powyższymi faktami — był niedostatek budownictwa komunalnego, które jest powołane do regulowania pilnych spraw w życiu społecznym i gospodarczym. Drugą zaś przyczyną było uruchomienie przez wiele resortów własnego budownictwa, skutecznie wypychającego potencjał budowlany ze spóldzielni mieszkaniowych. Na przykład KZKSU w Starosielach w dużym stopniu zaspokoił w ostatnich latach potrzeby mieszkaniowe swej załogi; co jednak nie mogło nie mieć ogromnego wpływu na spóldzielcze kolejki.

Nie dziwnego, że taki system rozdziału budownictwa spóldzielczego wywoływał oburzenie i krytykę oczekujących na mieszkania, zwłaszcza wtedy, gdy w samej spóldzielni nie przestrzegano sprawiedliwych kryteriów przydziału mieszkań.

Nowe zasady polityki mieszkaniowej przekreślają te niesprawiedliwe praktyki. Były weszły jak najżywczej w życie, bo — jak dowiadujemy się w WSM-ach — jeszcze w tym roku utrzymany zostanie dotychczasowy system podziału mieszkań. Inna rzecz, że na skutek załamania się ubiegłorocznego planu, potrzeby mieszkaniowe (poza spóldzielczością) są duże.

Według nowego systemu, wszystkie nowe budowane spóldzielcze mieszkania, będą wyłącznie przydzielane spóldzielni i dzielone przez samych spóldzielców. O otrzymaniu mieszkania ma decydować w pierwszym rzędzie okres oczekiwania. Zaznaczam — w pierwszym rzędzie — bo naturalnie, trzeba będzie uwzględnić także sytuację nagłą ludzi z dalszej kolejności na liście. Chodzi bowiem nie tylko o przestrzeganie kolejki, ale też o społeczne i sprawiedliwe widzenie ludzkich problemów. Natomiast przy przyjmowaniu kandydatów w poczet członków i ustalaniu kolejności przydziału im mieszkań powinno się przede wszystkim uwzględniać ich rzeczywiste warunki zamieszkania.

Nowe zasady rozdziału i przydziału mieszkań mają zatem kapitalne znaczenie dla

urzędów i instytucji na mieszkania oraz prowadzenie budownictwa własnego przez zakłady pracy.

Ponieważ mieszkania z budownictwa komunalnego mają być przeznaczane na przekwaterowania związane z wyburzeniami, na potrzeby losowe oraz dla osób znajdujących się w najtrudniejszych sytuacjach mieszkaniowych i materialnych, zaś mieszkania z budownictwa własnego zakładów pracy na mieszkania funkcyjne, odpowiedzialność za ich sprawiedliwy przydział spoczywać będzie na naczelnikach miast i dyrektorach przedsiębiorstw. Gwarancją tej społecznej sprawiedliwości — obok społecznego nadzoru, będzie obowiązująca zasada pełnej jawności.

Ale i budownictwo komunalne i zakładowe jest przysiółką kropką w morzu potrzeb. Cieszy fakt, że wyprowadza się z cienia, ale niepokoi skromne zamiany. Na przykład budzi zastrzeżenie propozycja rządu wybudowania w obecnym 5-leciu dla najmniej zarabających około 50 tysięcy mieszkań. Bo ile z tej skromnej wielkości może przypaść mieszkań naszym województwom? Z góry wiadomo, że bardzo niewiele.

Analizując sytuację mieszkaniową i omawiając możliwości jej złagodzenia w wyniku nowej polityki w latach 1981—85, trzeba więc ukierunkować uwagę na budownictwo indywidualne. Właśnie ono w naszych województwach — posiadających już dobre tradycje tego typu zabudowy — może i powinno stać się równowrotnym frontem budownictwa mieszkaniowego.

W minionym dziesięcioleciu, na planowane 380 tysięcy wybudowano w kraju w budownictwie indywidualnym 340 tysięcy mieszkań. Dla przykładu, w województwie białostockim wybudowano w poprzednim pięcioletniu 7,880 mieszkań, czyli o 20 procent mniej niż planowano, a w województwie suwalskim w ubiegłym roku ponad 750 mieszkań, to jest mniej o prawie 20 procent.

Różne były przyczyny załamania się planu i spadku zainteresowania prywatnych inwestorów miejskich i wiejskich budową domów. Zaważyły niedostateczny system i zakres pomocy państwa, gorsze warunki kredytowania, trudności w zaopatrzeniu materiałowym, niedobór terenów uzbrojonych, biurokratyzm urzędów.

Niemniej, jak dotychczas, przeszkód nadal jest więcej niż pomocy. Do tego doszła obawa przed posądzeniem o nieuczciwe dobroćkiewiczstwo.

W tej sytuacji — co stwierdza się w projekcie zmian polityki mieszkaniowej — sprawa pilna i konieczna staje się stwarzanie klimatu zachęty i aprobaty dla budujących. Uwzględnić się szeroki wachlarz przedsięwzięć, jak zapewnienie pełnego zaopatrzenia materiałowego poprzez rozwinięcie lokalnej produkcji, zapewnienie uzbrojenia, przyznawanie pożyczek z zakładowego funduszu przedsiębiorstw budowy domków jednorodzinnych i produkcji materiałów budowlanych, zwolnienie osób budujących domy jednorodzinne od opłat z tytułu przeznaczania gruntów ornych i leśnych pod budownictwo mieszkaniowe, wprowadzenie nowych zasad kredytowania, zwiększających wysokość kredytu, nawet do 400 i 500 tysięcy złotych z ulgowym oprocentowaniem.

ak więc — wracając do stwierdzeń na początku artykułu — są realne szanse na poprawę sytuacji mieszkaniowej. Jednakże jest jeden pod warunkiem: bezwzględnie trzeba wydobyc budownictwo z impasu. Jeśli już po I kwartale trzeba alarmować, że plan roczny jest zażymy, a także dowiadujemy się, iż i tak skromne nakłady finansowe mają być jeszcze okrojone, to nie ma co się ludzi nadzieją i ośzukiwać skutecznością bądź co bądź słusznych decyzji. Bo życie niejednokrotnie już nas przykro doświadczyło. Wyjątkowo szanarny start do nie skonkretyzowanych dotąd zadań bieżącego roku może z góry przekreślić zamierzenia i szanse całego pięcioletnia.

RYSZARD KLIMASZEWSKI

Kurpiowskie palmy

Tegoroczna niedziela palmowa w Łysych, była szczególnie uroczysta. Od samego rana ścigali mieszkańcy okolicznych wsi własnoręcznie wykonanymi palmami różnej długości i kształtu. Jedno z rekordzistów — aż cztery urodziwe kurpiowskie palmy. Pogotrzejsz z dumą wiał wszystkich przybywających gości. Tych z aparatami fotograficznymi — wypytujący skąd ich drogi niosą. Ktoś skrupulatnie obliczył, że na jedną palmę przypadało trzech nistykających. Nie tylko z Polski.

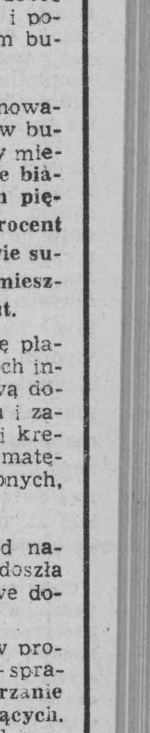
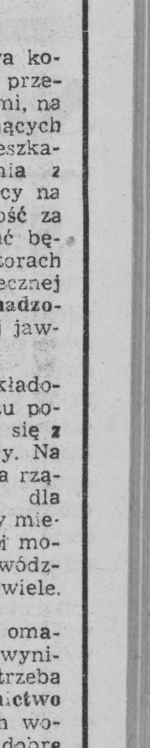
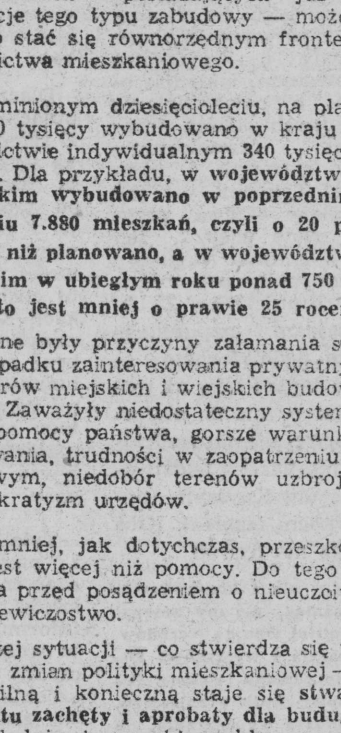
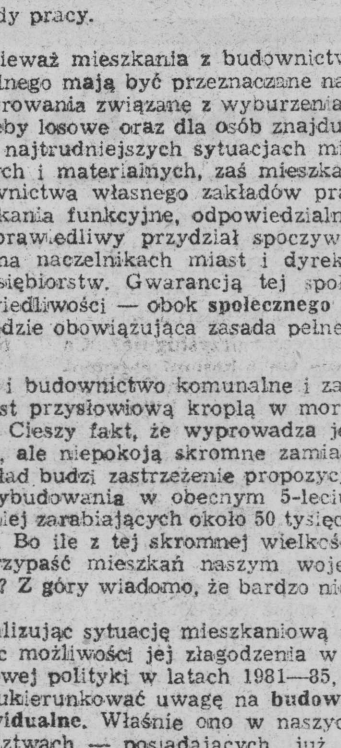
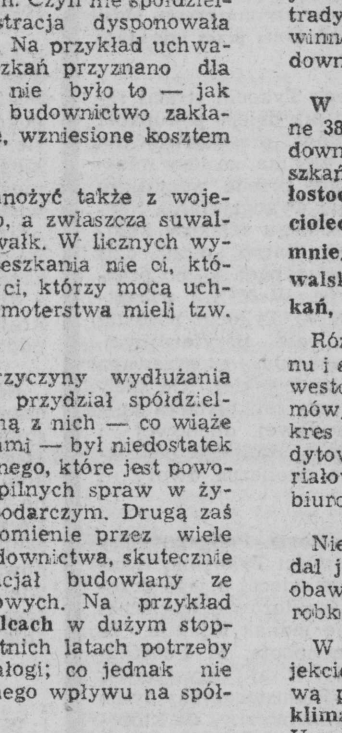
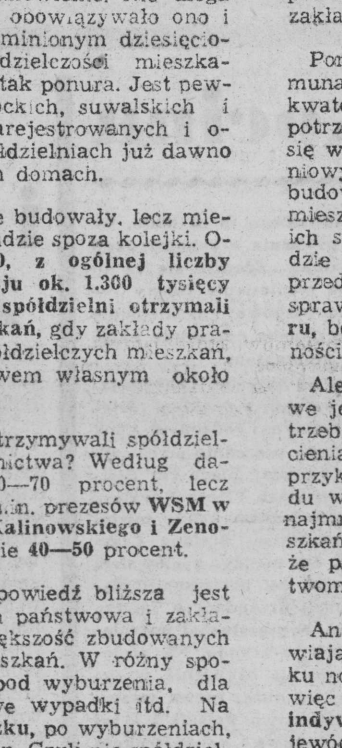


się jednak — że państwo, a więc my wszyscy — przestaniemy dopłacać do kinematografii. Kilkanaście cenników na bilety. Uczestnicy Forum szczególnie ostro protestowali przeciw podnoszeniu opłat dla DKF, co jest jednym tylko z przykładów traktowania ruchu przez niektóre OPRF jak płatę koła u wozu. Zlikwidowanie puli specjalnej filmów, niechętnie wypożyczanie kopii, blokowanie informacji mogą niejednego zapaleńca zniechęcić.

To samo dotyczy rozpowszechniania, gdzie obowiązuje np. kilkanaście cenników na bilety. Uczestnicy Forum szczególnie ostro protestowali przeciw podnoszeniu opłat dla DKF, co jest jednym tylko z przykładów traktowania ruchu przez niektóre OPRF jak płatę koła u wozu. Zlikwidowanie puli specjalnej filmów, niechętnie wypożyczanie kopii, blokowanie informacji mogą niejednego zapaleńca zniechęcić.

Przy świadomości, że dopłat państwa do kinematografii nie da się nijak uniknąć, należałoby jednak zacząć liczyć kompleksowo, ile możliwości pójścia do kina nas kosztuje. Istniejący system rozliczania poszczególnych przedsiębiorstw zaciemnia sprawę do tego stopnia, że bardzo trudno dociec, co jest naprawdę deficytowe, a co przynosi zyski. W tej sytuacji nie można twierdzić, że państwa nie można twierdzić, że np. wpływy z eksportu filmów finansują rodzimą produkcję, a 1400 złotych za każdego dolara, wydanego na zakupy, pozwoli budować kina.

Efektywniejsze wykorzystanie środków przez samodzielne zespoły filmowe nie będzie możliwe bez uporządkowania systemu cen i kosztów tak samo, jak bez ustawy o cenzurze.



Tymczasem upowszechnianie starych filmów może przynieść jakieś rezultaty tylko poprzez wyłączenie się DKF i kin studyjnych, traktowanych w ostatnich latach na równi z kochanymi. Dobrze, iż w Zjednoczeniu i części OPRF zaczyna się wreszcie rozumieć, że bez stworzenia szerokiego ruchu miłośników filmu niewiele można zrobić. Pierwszą jaskółką zmiany frontu jest porozumienie, w myśl którego DKF mają dwa tygodnie na przedpremierowe pokazy nie-

których filmów (w kwietniu będą to „Jak żyć” Łozińskiego, „Zamach stanu” Filipskiego i „Sukcesja” Marty Meszaros, w maju m.in. „Indeks” Kijowskiego zrealizowany przed czterema laty). Zamierza się też utworzyć — dopiero teraz — centralny bank informacji na temat kopii, co do działań DKF i kin studyjnych może znacznie ułatwić pracę. Resort zapowiada również ściślejszą integrację działań FilMOTEKI Polskiej, Instytutu Kultury Filmowej, Wydawnictw Artystycznych i Filmowych.

Kryzys repertuaru w pierwszym kwartale nie został jeszcze ostro odczuwany, frekwencja była nawet o połowę niemal wyższa niż przed rokiem. Spowodowały to polskie dokumenty: „Robotnicy 80” i „Papież Jan Paweł II w Polsce” oraz amerykański superprzebieg „Przeminoż z wiatrem” a także „Parszywa dwunastka” i filmy o potworach. To zainteresowanie już się kończy. Nasza kinematografia coraz bardziej

przypomina rozbitką, który wzdryga się na myśl o wykonaniu jakiegos gwałtowniejszego ruchu, licząc wciąż jeszcze na cudowne ocalenie. Ratuszek jednak nie nadchodzi, a rozbił opada z siłą, trawiony ostrą gorączką, Ratować repertuar mają filmy z tegorocznych „Konfrontacji”, które będą wyświetlane w większych miastach — jako przedpremierowe — aż do zderzenia kopii. Zapewne uda się kupić „Tese” Romana Polańskiego za złotych; kierownictwo Zjednoczenia kombinuje czy nie uda się zaprosić innych wielkich reżyserów Zachodu wraz z ich dziełami. Wkrótce ma przyjechać do Polski Michael Cacoyannis — twórca „Greka Zorby”, „Elektry” i „Dnia, w którym wypłynęła ryba”. Spotkania z głosnymi reżyserami i pokazy ich filmów byłyby jakas szansą DKF, a co za tym idzie — całej dystrybucji. Jak wielu z nich jednak zechce do Polski przyjechać?

JAN KWASOWSKI

Ciąg dalszy ze str. 3

obciążali i znaczyli. Taka była konwencja i trudno byłoby, żeby w tej sprawie decydował mój osobisty stosunek. Wynik był prosty — niewiele pożytku z pełnienia tej funkcji i z domownia, którym jednak byłem. Słusznie stanowisko, by nie kumulować w jednym ręku stanowisk partyjnych, państwowych i społecznych zajęło VI Plenum, wnioskując rozszerzenie kręgu ludzi partycypujących w sprawowaniu władzy. W grudniu złożyłem rezygnację z funkcji przewodniczącego WRN, w styczniu obowiązki przewodniczącego WKO objął wojewoda Jerzy Zielenka, zespół d/s samorządu robotniczego został rozwiązany i obecnie sprawozdano funkcję i sekretarza do wymiarów względnie realnych. Sądzę, że i sekretarz KW powinien być wyłącznie i sekretarzem, mandatariuszem swojej organizacji.

Kumulowanie wielu funkcji w jednym ręku nie wpływa korzystnie na postawy przedstawicieli władzy, gdyż mając kontakt z samą władzą odrywają się od społeczeństwa, organizacji partyjnych. Władza żyje wtedy swoim życiem, co nie wychodzi na korzyść ani jej, ani tym bardziej społeczeństwu.

ROZMOWY CZY WERYFIKACJA

Tow. Miszak: W zakładzie prowadzimy obecnie zgodnie z zaleceniem IX Plenum rozmowy indywidualne. Zostali wytypowani na przewodniczącego jednej z grup. Zgłoszenie natychmiast szereg wątpliwości co do ich celowości i tematyki. Poglębiły się one po przeprowadzeniu części rozmów. Większość towarzyszy uważa, że w obecnej sytuacji polityczno-gospodarczej w kraju, a także w samej partii, gdy nie mamy nowego programu, nie mamy o czym rozmawiać. Organizacje partyjne, również nasza wyrażają wotum nieufności wobec działania dotychczasowych komitetów zakładowych. Należałoby więc rozmowy odłożyć do czasu wyboru nowych władz, do których większość członków partii będzie miała zaufanie, a

którymi będzie szczerze rozmawiała.

Tow. Czesław Cymer: Ci, którzy układali pytania ankiet, nie rozumieją widocznie sytuacji w kraju, sytuacji w partyjnych dołach. Naszym zdaniem to nie nas powinno się weryfikować a ich, oni powinni przyjść na rozmowy do nas.

Tow. Szpalinski: Rozmowy wynikają z potrzeby uporządkowania sytuacji w partii, są jednym z elementów aktywizacji zespołów partyjnych, by podjęli działalność w procesie socjalistycznej odnowy. Czy spełnia tę rolę zależy od sposobu ich przeprowadzania, od intencji, wrażliwości, kultury i

nia, że przeciwdziałali strajkom. Ja usiłowałem, ale nie z tego nie wyszło. I teraz co dziwniejsze będzie ze mną prowadził rozmowy towarzyszy, którzy strajki przesiedlali w biurach.

Dziwna jest także konkluzja tej ankiety. Trzeba w niej bowiem podać czy dany człowiek nadaje się do partii czy nie, czy chce należeć. To jest podcinanie gałęzi na której siedzimy. Dziś jest bardzo trudno powiedzieć — nie. Zresztą doświadczenia z pierwszych rozmów to potwierdzają. Następnym dowodem jest masowe składanie legitymacji.

Tow. Cymer: Pyta się podczas rozmów o stosunek do centralizmu demokratycznego.

partia to jesteśmy my robotnicy, na dole, czy partia to Biuro Polityczne. Określono termin Zjazdu, wybory, ale u nas w zakładzie nie ustalono jeszcze żadnego terminu wyborów. Bardzo mało mówi się o tym, że tracimy członków partii. U nas nikt nie wie, ilu? Nie chcemy wiedzieć. Czyżby czekano na to, że wartościowi ludzie odejdą, a pozostali łatwiej będzie pokierować?

Tow. Cymer: Trzeba docenić wpływ szerokiego masowego udziału w decyzjach IX Plenum. Trzeba powiedzieć, że jest to zasługa oddolnych działań, a nie Biura Politycznego czy KC. Jest cały szereg spraw, które należy przedyskutować, bo te doły partyjne — tak będą

trzeba czerpać z siebie samego i z głosów szeregowych członków partii. Im więcej członków kierownictwa z nimi przebiega, im poważniej do głosów tych podchodzi, tym słusniejsza społecznie podejmujemy decyzje. Tylko, powiedzmy sobie szczerze, że z takim jak dziś opiniami nigdy nie mieliśmy do czynienia. Czy potrafiliście kiedyś tak powiedzieć jak dziś, a czy ja potrafiłem kiedyś tak słuchać jak dziś?

Wytworzył się pewien mechanizm negatywnych reakcji w stosunku do wszystkich impulsów idących ze strony kierownictwa i akceptacji wszystkich co płynęło do góry. Tymczasem musi to być obieg od góry do dołu, i od dołu do góry, myśli i opinii. Demokracja w partii polega na podporządkowaniu się mniejszości większości, a niższych instancji wyższym. Doszło jednak do przesady dyscypliny, wynikającej po części także ze słabego zainteresowania członków partii życiem wewnątrzpartyjnym. Dziś zbieramy tego plony.

Czuję z olbrzymią przykrością, że wyrósł pewien podział między instancjami a członkami partii i myślę, że decyzja IX Plenum była potrzebna do oczyszczenia tej atmosfery. W aparacie partyjnym pracuje 33 lata i powiem jednoznacznie: tak demokratycznego regulaminu wyborów w partii jeszcze nie było. Jest to dokument, który w pełni uwzględnia najbardziej radykalne głosy i opinie w odniesieniu do zasad formułowania władz partyjnych. Tak przeprowadzone wybory będą służyły umocnieniu partii i autorytetu jej kierownictwa.

Godność tych ludzi, którzy dziś sprawują władzę, będzie polegała na tym, że potrafili poddać się bez żadnych manipulacji osądowi członków partii w trakcie wyborów. Zadnych przygotowań i zabiegów o osobowe kształtowanie władz na wszystkich szczeblach być nie powinno. Zdecydują o tym członkowie partii. Jeżeli mówimy, że ufamy im, wierzymy w ich mądrość, rozsądek i odpowiedzialność, to myślenie, że będzie to z pożytkiem dla kształtu i składu osobowego nowych władz.

JERZY BRODZIUK

Bez owijania w bawełnę

nastawienia rozmówców. Przecież nie ktoś z zewnątrz, ale wy sami prowadzicie te rozmowy. Nie chodzi o formalne ich przeprowadzenie. Próby narzucania a nie wyjaśniania stanowisk nie przyniosą pożądanego rezultatu.

Tow. Michał Gajos: To co powiedział tow. Szpalinski może powtórzyć i ja. Jestem za rozmowami, ale nie tymi. Ważne jest, że prowadzimy je sami, ale jest ankieta, na której pytania trzeba „wydobyć” odpowiedź. A sformułowania stawianych w nich problemów nie odpowiadają sytuacji w partii. Jest m.in. pytanie o działalność w ostatnim okresie. I co napisać? Przecież wiadomo, że działalność nie było żadnej. Jestem członkiem partii z kilkunastoletnim stażem, ale takiego marazmu jak w okresie ostatnich siedmiu lat to ja nie pamiętam. Więc co ten członek partii robi? Chodził na zebrania i z oporami pisał składki.

W sierpniu partia przeżyła wstrząs, po którym do tej pory się nie ocknęła. Widać to w ankiecie. Nie wiem czy ktoś z czystym sumieniem może odpowiedzieć, na kolejne jej pyta-

To ja stawiam od razu drugie pytanie — jakiego centralizmu? Tego co był, co zrobił z partią to co co zrobił? A wankiecie jedna linijka na odpowiedź. W ten sposób prowadzone rozmowy dają efekt odwrotny od zamierzanego. Są po prostu weryfikacją, a o niej na IX Plenum nikt nie mówił. To nie tak, Jesteśmy przecież na etapie dyskusji, ścierania się poglądów, ich wypracowywania.

Tow. Gajos: Powinnością przychodzić do członków partii z innymi pytaniami — co was boli, co was gnębi, jak widzieliście to czy tamto.

Tow. Szpalinski: To nie ma być weryfikacja, ale szczerza, rzeczowa partynia rozmowa.

KOMU VOTUM ZAUFANIA?

Tow. Czołczyński: Ocena IX Plenum jest różna — mówi o sukcesie, a my uważamy że nie skonkretyzowano na nim wszystkich propozycji oddolnych.

Tow. Łukasik: Nie uważam, by Plenum miało największy wpływ na odprężenie. Moje zdanie jest zgoda inne, że zaostroszy sytuację. Ja bym zażądał pytanie podobnie jak w Stoczni Gdańskiej — czy

mówił, gdyż jest wyuczulony pytanie — jakiego centralizmu? Tego co był, co zrobił z partią to co co zrobił? A wankiecie jedna linijka na odpowiedź. W ten sposób prowadzone rozmowy dają efekt odwrotny od zamierzanego. Są po prostu weryfikacją, a o niej na IX Plenum nikt nie mówił. To nie tak, Jesteśmy przecież na etapie dyskusji, ścierania się poglądów, ich wypracowywania.

Tow. Gajos: Powinnością przychodzić do członków partii z innymi pytaniami — co was boli, co was gnębi, jak widzieliście to czy tamto.

Tow. Szpalinski: To nie ma być weryfikacja, ale szczerza, rzeczowa partynia rozmowa.

Tow. Czołczyński: Ocena IX Plenum jest różna — mówi o sukcesie, a my uważamy że nie skonkretyzowano na nim wszystkich propozycji oddolnych.

Szanse Tykocina

Staraniem Białostockiego Towarzystwa Kultury, Instytutu Historii Filii UW i Muzeum w Tykocinie odbyła się sesja popularyzatorska poświęcona dziejom Tykocina, niegdyś grodowi i znaczącemu i poza granicami Rzeczypospolitej, dziś siedzibie takiej sobie gminy. Kontrast to ogromny, ale nie tak znów odosobniony, by wspomnieć jeszcze o Drohiczyńskim, Nowogrodzie czy Wiźnie.

Darujmy sobie skrupulatną wyciankę zdarzeń. Dziewięć wieków historii Tykocina wciąż będzie z pewnością wciąż nowych badaczy i wierzę, że dzięki ich wysiłkom za lat, ukaże się pełna monografia miasta. Referencje na wspomnianej sesji potwierdziły znane już prawdy o wyjątkowo skomplikowanym układzie osadniczym, o nawarstwianiu się tu kolejnych założeń urbanistycznych, przemianach starego ze starszym i nowszym. Miał Tykocin — jak sądzić należy — dwa przebiegi „złoty wiek”, ten z czasów Zygmunta Augusta i ten sprowadzony przez Jana Klemensa Branickiego. Z listów nuncjusza papieskiego wynika, że podejrzewano o ostatniego z Jagiellonów na tronie polskim o zamiar niefortelnego przeniesienia centralnego ośrodka władzy państwowej do zespołu Knyszyn (pałac) — Tykocin (zamek). Ktoż tu wówczas nie był!

Ciekawość, ale i kontrowersje budzi ów zamek, główny arsenał Rzeczypospolitej Obojga Narodów, budowa okazała i wyjątkowo kosztowniejsza. Znamy już dokładne opisy wałk i zniszczeń, także inwentarz wyposażenia, ale brak danych o wyglądzie zewnętrznym obiektu. „Hipotetyczna makieta” sporządzona przez inż.

W. Paszkowskiego to za mało, by myśleć poważnie o rekonstrukcji całego sanku. Zgodzić się za to można na wzniesienie basty — wieży widowiskowej i zasklepienie podziemi. Trzeba też pilnie zająć się złodziejstwami.

Przyjeżdżając do Tykocina jak do perle baroku, z rykiem (dziełem oryginalnym i rodzimym, choć inspirowanym pośrednio przez „odległe natchnienia” placu św. Piotra i francuskiego Places Royales), okazały kościołem księży misjonarzy, pomnikiem Stefana Czarnieckiego, już niegdyś apelowalem do Hetmana, by potrafił bujać i obudzić drzemających jeszcze tykocinian. Nie posłuchał pogromca Szwedów, a szkoda. Na pocieszenie pozostałe ożywiłem w synagogach, tuż tuż (nowa wystawa „Medalierstwo Polskie”) i tej małej (ukrojonej rekonstrukcji wnętrza, koncertu muzycznego, objętych we władanie przez muzealników.

Dlaczego Tykocin stracił reputację i tak dalece podupadł? Z referatów przedstawianych na sesji wynika, że losy miasta zależały przede wszystkim od stopnia wykorzystania Narwi i przebiegu szlaków kolejowych. O Narwi pisał dziś wręcz nie wypada — po prostu cichnie. W XIX i początku XX w. Tykocin posiadał miastem, ale peryferyjnym, bez przemysłu, z przewagą ludności żydowskiej. Nie spełnił wówczas roli ośrodka kultury narodowej, duchowej i materialnej, zdolnego oddziaływać na okoliczne dwory i wsie.

Tyle historia. Podsytnym i o przyszłości Tykocina, wiedząc coraz więcej o jego przeszłości. Amatorów wycieczek informuję jednak lojalnie, że w wolną sobotę, 11 kwietnia czynny był w tej „turyistycznej oazie” Białostocki zjazd tylko bar gastronomiczny, do którego bezpiecznie po prostu nie wchodzić.

A.D.

Bywały i takie święta

Z wyjątkiem w przeddzień Świąt Wielkanocnych przypadały dawne, staropolskie obrzędy, tradycyjne potrawy, ludowe porzekadła. A może dla odmiany dobrze będzie sięgnąć po opisy z mniej odległych, a niezwykłych lat.

Wielkanoc 1919 r., pierwsza w niepodległym mieście. Redaktor „Dziennika Białostockiego” donosił: „Jedwie kilka dni przed nas o świąt, w tych warunkach rady trudno znaleźć, a może jednak dążyć się zaradzić braku produktów...”. Z dalszej lektury wynikało, że najgorzej było z mięsem i drożdżami. Za to w wielką sobotę pierwszą stronę gazetki niemal w całości wypełnił artykuł o solidarności społecznej („Budowa zdrowego społeczeństwa polega przede wszystkim na solidarności”), jako zjawisku mogącego złagodzić dokuczliwość bytowania. Wiadomo, w najgorszej sytuacji znaleźli się najmniej zarabiający, bezrobotni, rodziny pozbawione mężów i ojców.

I wreszcie numer świąteczny z 20 kwietnia, a w nim życzenia i komentarz „Triumf życia”. Po tylu latach niewoli, po poniewierze kilku pokoleń znów „nad ziemią polską rozwinęło się wiosennie... i dziś właśnie w dzień wielkiego Świąt Wielkanocnych wzbija się myśl i serce ku tej, co już w szatach rzeczywistości — wolna, wielka, umiłowana — przyszła ku nam triumfująca — a której imię Ojczyzna”. Radosne odnowienie pozwalało zapominać o niedostatkach, tym bardziej, że z frontów docierały pomyślnie wieści, a do kraju wracali właśnie oczekiwane od dawna oddziały hallerzyków.

Reguła numerów świątecznych jest zamieszanie w nich i materiałach lepszych, relaksowych. „Dziennik Białostocki” udzielił wówczas swym czytelnikom, a raczej czytelnicom porad z zakresu mody. „Zmiany polityczne na wszystkich, a więc i na modzie odbiły się muszą”. Wytrwały znawcy przedmiotu oceniały, że zaznaczyły się tendencje do naśladowania elementów strojów z czasów „wielkiej rewolucji francuskiej i tylko „w fałszywych rękawach panuje wszechstronna anarchia”.

W 1946 r. białostocianie mogli kupić za 2 złote egzemplarz „Jedności Narodowej”, datowany na 21—23 kwietnia. Tradycyjnie i to pismo zamieszczało życzenia Wesołego Alleluja.

„Po okresie burzy i nadludzkich wprost zmagani jest to Wielkanocny pokój i zmartwychwstania Polski”. Szczęśliwe święto, choć ci, którzy z Polską dzisiaj walczą, nie zasiadają z nami do wielkanocnego stołu, choć czeka ogrom prac, choć wojna zabrała tyle ofiar. Jak w 1919 r., tak i teraz brakowało wielu produktów, a gazeta zamieszczała komunikaty o tym, kto otrzymał paczkę UNRRA na kupony kart miesięcznych.

Numer świąteczny „Jedności Narodowej” z 1946 r. był wyjątkowo bogaty. Z dużych pozycji zwracał uwagę artykuł o tzw. sprawach drażliwych. Oto one: prasa (czy faktycznie wszyscy piszą to samo, co im każą?), cenzura („...dziś w Polsce jest o wiele bardziej liberalna, aniżeli cenzura przed wojną, kiedy to każde słowo prawdy pod adresem sanacji było konfliktowne”), wolność zebrań, sprawy partyjne („wydaje nam się, że sześć partii — to liczba aż nadto wystarczająca”), nasz stosunek do Związku Radzieckiego (pięć pytań, w tym również o przyczyny oddania Wilna i Lwowa). Na Kolumnie Literackiej Małgorzata Kobus zamieszczała opowiadanie wielkanocne „Pojeźdźnia z ziemią” (rzesz o repatriantach). Trudności przeżywała Biblioteka Miejska w Białymstoku (potrzebna pomoc władz i społeczeństwa).

Interesujący był też zestaw komunikatów. Robotnicy i pracownicy państwowi powinni wykupić bilety Pożyczki Odbudowy Kraju (np. zarabiający do 750 zł — bilety w wysokości 500 zł, ale w 5 ratach). Wojewoda białostocki, ob. Stefan Dybowski ofiarował na 2 „święcone” dla żołnierzy 1000 zł. Życzenia Wesołego Alleluja nadesłała swoim Klientom i Sympatykom stółowa nr 1 (autentyczna). Ujęto bimbrnowików (120 litrów samogotu), a mordera dzieci został skazany na śmierć.

Zamiast humoru damo „coś z życia”. Wójt z gminy w Bielsku poinformował — oczywiście na piśmie — starostę powiatowego, że pewien pracownik Inspektoratu Świadczeń Rzeczypospolitej w biurze kolegi („Kazalek natchnienia” przerwał). Starosta uznał incydent za ważny i przekazał oświadczenie wojewodzie białostockiemu. Strzyżony zaś złożył wyjaśnienie, że „uporządkowanie włosów, których już prawie nie-mam, zajęło zaledwie kilka minut”. A tak w ogóle to go nie stało płacenie fryzjerowi (w oryginalnym „dla fryzjera”) 20 złotych. Autor felietonu obawiał się, że wydarzenie w urzędzie bielskim trafi na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Tyle wyciągów z dwóch świątecznych numerów gazet białostockich. W ciężkich latach odrodzenia i odbudowy kraju cieszone się z wolności i pokoju, a wypadło wierzyc, że wkrótce ustąpią i trudności życia codziennego. Takie jest prawo świata.

Podał: A. DOBRŃSKI



Telewizyjne ciagle czekają na „Człowieka z marmuru”. Być może wcześniej zobaczymy „Człowieka z żelaza”. Na planie filmu w Stoczni Gdańskiej: Andrzej Wajda, Jerzy Radziwiłowicz, Krystyna Janda.

Muzyka i życie

Świąteczna edycja „Gazety” zobowiązuje do lepszego tonu i do pohamowania typowych dla felietonisty zapędów psucia dobrego nastroju. Jednakże o ile łatwo znaleźć „leższe tony” w muzyce — o tyle, czego by nie tknąć w życiu — z komizmem niewiele ma to wspólnego, co najwyżej z tragicizmem. A tytuł tej rubryki zobowiązuje. Zatem niech wybaczy mi Czytelniku, iż tym razem więcej będzie o życiu, aczkolwiek wydawać się to może bliższe anegdotce. I chociaż to Wielkanoc — proponuję spojrzeć nie na pisanki, a na pisanie.

Znany z telewizji Bogusław Kaczyński („Operowe qui pro quo”) w przedostatnim wydaniu „Cameraty” wyznał, że przestał uprawiać krytykę ponieważ spastrzył w pewnym momencie, że jego walka o słuszną i zdawałoby się oczywistą sprawę pozostaje bez żadnych wyników. Wyraził przy tym niewiarę w jakąkolwiek skuteczność krytyki muzycznej w Polsce. Myślę, że Kaczyński nie był na tyle naiwny, by sądzić, iż naprawi polską operę bez naprawy Rzeczypospolitej. Aby wybiłn polscy wokaliści nie musieli na polskie sceny podążać okrężną i długą drogą przez „La Scala”, „Metropolitan Opera” czy „Covent Garden” — należał najpierw przełamać samowole dyktatorów i przeróżne układy na rozmaitych szczeblach. A to już bardziej życie niż muzyka.

W minionym pięcioleciu również piszący te słowa usiłował w swojej naiwności walczyć piórem na łamach „Kontrastów” o wysoki poziom muzyki w Białymstoku i okolicach, a przede wszystkim o prawo do bezstronnej, nie manipulowanej krytyki muzycznej jako nieodzownego elementu kultury artystycznej, nieodzownego dla higieny czy nawet zdrowia funkcjonujących instytucji. Wprowadzone na ogólnopolski rynek czytelnicy przez Klemensa Krzyżagórskiego „Kontrasty” nie chciały się dostrzoić do kamertonu propagandy sukcesu, zresztą nie byłyby wtedy pismem literatury faktu, ale literatury pięknej choć niezbyt prawdziwej. Fakty, jak wiemy dziś wszyscy, nie prowadziły nas do sukcesu i w makroskali w skali regionu, czy poszczególnego jego spraw. A jednak ówczesni i, niestety, częściowo jeszcze dzisiejsi decydenci programowo ślepi i głusi na fakty, a łakomi na „sukcesy” doprowadzili do złozenia rezygnacji całego trzonu redakcyjnego. Twórcy nowych „Kontrastów” często pojawia się na małym ekranie. Odzyskała go Polska, Białystok — stracił. Ciekawe byłoby ujawnienie sprawców tej pacyfikacji oraz ich miejsca w szeregu dzisiejszej odnowy. Przecież to nie mniej ważne dla poczucia społecznej sprawiedliwości niż wyświeślenie tajemnic licznych dacz czy samochodowych talonów.

Zdawałoby się, że jesteśmy na prostej drodze do przywrócenia wiary w słowa. Ale to tylko złudzenie. Droga ta podobna raczej do krzyżowej. Każdy niemal dzień przynosi przykłady burzenia tej wiary. Jest w Polsce nadal wiele sił mniej lub bardziej za-

kamufLOWANYCH, którym zależy na ukryciu prawdy, na chaosie pojęciowym, bo jest to dla nich jedyny ratunek, jedyny sposób utrzymania się na wzburzonej fali. Ofiarą takich machinacji padł ostatnio Stefan Bratkowski, który od lat starał się zderzać skorumpowany fałsz z naszym życiem. „Gazeta Współczesna” zmuszona jest publikować oświadczenia w tej sprawie w jednym egzemplarzu w redakcyjnej gablocie, optować za prawdą na tablicy ogłoszeń!

W dalszym ciągu prawdą się manipuluje, ośrodki dyspozycyjne denerwują ludzi już chyba i tak ponad miarę wyczerpanych. W przedostatnim numerze tygodnika „Antena” zapowiedział telewizyjnej projekcji filmu Krzysztofa Zanussiiego „Barwy ochronne” kończy się słowami: „Mam również nadzieję, że planowana emisja nie przeszkodzi w telewizji żadne perturbacje, jak to miało miejsce przy „Człowieku z marmuru”. Przeszkodziły, niestety.

Bez przywrócenia wiarygodności słowom, bez otwarcia wszelkich tam wstrzymujących potok prawdy, a nade wszystko bez realizacji wniosków wyprowadzanych z prawdziwych informacji, odnowa pozostanie jeszcze na długo hasłem. Prawdy nie możemy się obawiać. Nie należy się obawiać także najostrejszych choćby sformułowań krytyków. To na pewno ani sztuce, ani instytucjom artystycznym nie zaszkodzi, wręcz odwrotnie — pomoże. Okres propagandy sukcesu, który trzeba po prostu zwać po imieniu okresem fałszu i zakłamania, przyczynił się również do rozbrojenia naszej krytyki; część publicystów, tak jak Bogusław Kaczyński, przestała strzelać w ogóle, inni, którzy musieli to czynić dla chleba, używali ślepych naboju, bądź strzelali rozmyślnie niecelnie, aby przypadkiem kogoś nie trafić. A nawet gdyby i trafili, to wiele spraw i osób chronił pancerni nie do przebicia. Efekt na dziś jest taki, iż każde pisanie przetrada się w propagandę kłeski, wszyscy chwytają za broń i ostre naboje, wystrzelując swoje oszczędności z kilku ostatnich lat. A tymczasem należy działać, już działać i to szybko. Na ogół przecież dobrze wiemy, co jest złe i co trzeba naprawić. Więc naprawiajmy.

Uzdrowienie polskich instytucji muzycznych zacząć trzeba od uzdrowienia polskiego pieniądza; zgadzam się z pięknym i ważkim wystąpieniem sejmowym Edmunda Osmańczyka, podkreślającym między innymi uzależnienie stabilizacji gospodarki kraju od ustabilizowania polskiego złotego. Możemy kształcić setki i tysiące muzyków, a dopóty będzie ich w kraju ciągle brakowało, dopóki profesor szkoły muzycznej zarobi znacznie więcej w RFN grając tam w jakimś kawaliarnym ogródku. Możemy na ten temat zapisać tony papieru, używać najostrejszych epitetów, a bez konkretnych ekonomicznych posunięć muzycy wciąż będą przeciekać. Chyba że uszczelnimy granice.

Na temat dziennikarskiego pisania i jego bezskuteczności kursuje w Białymstoku powiedzenie: „psy czekają a karawana jedzie dalej”. Jeżeli ten nasz psi skowyt nadal nie będzie rozumiany przez decydentów, to obawiam się, że owa karawana rychło przekształci się w karawan. I na koniec jeszcze coś o zwierzyńcu: podobno kiedyś nawet gęsi coś uratowały...

STANISŁAW OLEŹKI

Polemiki

Publikujemy dziś kolejną odpowiedź na artykuł Jacka Grłina zatytułowany „Wcześniak?”, której autorem jest, wspomniany w wymienionej publikacji, były dyrektor PSM I stopnia w Suwałkach — Jacek Puchnowski, obecnie nauczyciel w tej placówce. Czytelnikom znającym problem — jak również zarządzającym suwalską kulturą i nauką — radzimy zwrócić uwagę na przytoczoną (a przez nas sprawdzoną) przez J. Puchnowskiego opinię pracownika Ministerstwa Kultury i Sztuki, dotyczącą zasadności powołania w Suwałkach PSM I stopnia. Na tym kończymy publikację polemik wokół artykułu „Wcześniak?”.

W latach 1970—71 uczestniczyłem w Białymstoku w pracach zespołu przy Wydziale Kultury i Sztuki UW (WKIS) opracowującego kierunki

rozwoju szkół muzycznych w dawnym woj. białostockim. W przyjętych wówczas ustaleniach zakładano powołanie kilku szkół muzycznych I stopnia w miastach powiatowych, m.in. Suwałkach, Augustowie i in. Zakładano także, że otwierany właśnie były architekturalnie i funkcjonalnie i spól Placówek Kształcenia Artystycznego (PKA) w Suwałkach, w tym placówkę, ale peryferyjnym, bez przemysłu, z przewagą ludności żydowskiej. Nie spełnił wówczas roli ośrodka kultury narodowej, duchowej i materialnej, zdolnego oddziaływać na okoliczne dwory i wsie.

komu innymi osobami w woj. suwalskiego.

Jakie zatem warunki — moim zdaniem — powinny być spełnione aby można było przystąpić do rozruchu średniej szkoły na bazie wcześniejszych przygotowań do szkoły w Suwałkach zrobione dla ich spełnienia?

1. Baza dydaktyczna. Już przy powołaniu PSM I st. zobowiązuje właściwie powierzchnię lokalną, jaką oddaje do dyspozycji jedynie połowę byłej siedziby KP PPR, druga zaś przeznaczona została w Suwałkach zrobione dla ich spełnienia.

2. Wyposażenie w pomoce. Kiedy przejmowałem szkołę w 1976 r. posiadała ona 35 instrumentów oraz 30 sztuk płyt gramofonowych i 1500 woluminów nut. Kiedy ja przekazywałem następcy w roku 1980 jej stan posiadania wynosił 300 instrumentów, 1500 płyt gramofonowych i 6.500 woluminów.

3. Kadra nauczycielska. Przez wszystkie lata powojenne przez Suwałki przewijało się wielu nauczycieli — w większości zaangażowanych oddanych sprawców rozwoju kultury muzycznej w mieście. Niektórzy z nich zdecydowali się osiedlić na stałe — inni byli tzw. „przelotnymi ptakami”. Jest jednak prawda, że o wysoko kwalifikowaną — w sensie posiadania — kadry nie było i jest

był brak mieszkań dla zgłaszających się do pracy nauczycieli. Wolało się stąd wędrować, co w Suwałkach stworzyło dodatkowe trudności. Od roku 1973 w mieście zaczęły powstawać mieszkania obywateli, którzy w latach 1980—82. Nie dziwnie więc, że kolejni młodzi nauczyciele po roku czy dwóch latach nie wytrzymywali bytowania w klasach szkolnych lub kwaterek i — nie widząc perspektyw — odchodzili.

4. Proces dydaktyczny. Tradycyjnie dydaktyczną tworzyło w Suwałkach od lat Społeczne Ognisko

Muzyczne i powołanie na tej bazie PSM I st. było logicznym następstwem wieloletnich wysiłków ówczesnych pedagogów, nie jako usankcjonowaniem i nobilitacją środowiska, i choć na bazie do roboty ogniska można było otworzyć od razu trzy pierwsze klasy działu dydaktycznego oraz klasę dyplomową, w następnych jednak latach czekało szkolę stopniowe wchodzenie w rozruch dydaktyczny. Ponieważ jesteśmy krajem eksperymentów dydaktycznych, eksperyment nie ominął i suwalskiej PSM. W r. 1976 Ministerstwo Kultury wprowadziło nowe ślaskie dydaktyczną tj. 6-letni okres nauczania w mieście 7-letniego. Po trzech latach w istniejącej szkole rozpoczęła rozruch dydaktyczny na nowo. Podjęliśmy wówczas organizacyjne „porządkowanie” grup wiekowych uczniów, dostosowanie do wieku i wymagań dydaktycznych stosowanych równolegle w szkołach ogólnokształcących. Przesłuchując co roku ok. 500 dzieci w wieku 7 lat (wszystkie dzieci z danego rocznika w mieście) już w czterech klasach mamy w br. uczniów wiekowi wyrównanych. Dopiero za trzy lata osiągnięlibyśmy ponownie pełny rozruch dydaktyczny oparty na trwałych podstawach racjonalnego naboru i pracy, od podstaw. Ponieważ działaniem tym objęliśmy równoległe ognisko muzyczne liczyliśmy, że za trzy lata będziemy

mieli sporo uzdolnionych absolwentów i można będzie — o ile będą spełnione inne warunki — podjąć rozruch szkoły średniej. Bawiłem bieżą rekrutacją dla szkoły II st., zwłaszcza w pierwszej klasie musi być przede wszystkim młodzi z Suwałk, a nie z okolicznych miast. Półki co — najdłuższych kierowaliśmy podobnie jak inne szkoły do Białegostoku, gdzie mamy już sporą grupę — według opinii pedagogów — zdolną i pracowitą. Oczywiście w bieżącym roku szkolnym kontakt ten został zerwany.

Reasumując: poza wyposażeniem w instrumenty i nuty, żaden z pozostałych warunków nie został spełniony tak, aby można było mówić o naturalnym i planowym rozwoju. Ponadto nikt ani nauczycieli ani dyrekcji szkoły nie pytał o opinie przy nakładaniu obowiązków realizacji podjętych bez konsultacji z bezpośrednimi wykonawcami decyzji. Argument „nie to, że droga wyboista — ważne że kierunek słuszny” — jak śpiewa W. Młynarski — nie może wystarczać do podjęcia decyzji o charakterze m.in.

ekonomicznym, jakim jest utworzenie nowej placówki dla państwowej — czyli naszej placówki.

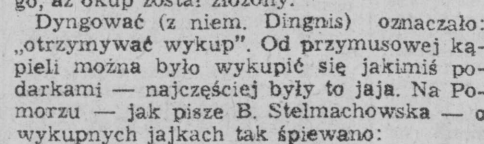
„Wcześniak” wymaga „troski i opieki” — z pewnością. Tymczasem otwierając szkołę pozabawiono o wszystkich kwalifikowanych i posiadających staż pracy nauczycieli, wbrew obowiązującej ustawie (Karta Praw Nauczycieli). Przez sześć miesięcy (sic!) trwała „walka” o przywrócenie nam praw. W marcu br. przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki, który raczył przybyć i zobaczyć co się dzieje (zamiast przed otwarciem szkoły) oświadczył nam, że nie tylko nie mamy kwalifikacji ale niektórzy w ogóle nie powinni być nauczycielami. Oświadczenie to złożył pracownik, który uczestniczył w powołaniu i posiadał doświadczenie w prowadzeniu szkoły. Zart czy brak poczucia elementarnej logiki i poszanowania godności? A może po prostu brak poczucia odpowiedzialności za to co się robi i mówi?

JACEK PUCHNOWSKI

„WCZEŚNIAK?”

Zagadka — leśnego wzgórza

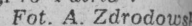
(rp)



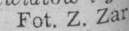
Pospólstwo bawiło się jeszcze brutalniej. Szczególnie parobcy nie przebierali w środkach. Schwytane dziewczęta „zawlekali do stawu albo do rzeki i tam wzięwszy za nogi i ręce wrzucili”. Tam, gdzie nie było rzeki lub stawu, dziewczęta „mociono” w stojących przy studni korytach służących do pojenia

Oblewajmy się więc — byle z umiarem.
SYLWERIUSZ DWORAKOWSKI

klacz poruszała się zawsze z prawdziwym wdziękiem. W Meksyku straciła swój piękny klus. I



Przypomnę, że na obydwie wystawy można zgłaszać tylko takie zbiory, które wcześniej na innych wystawach uzyskały odpowiednie wyróżnienia. Ponadto muszą one być zaakceptowane przez Komisję Wystaw Zarządu Okręgu PZF w Białymstoku.



niony mundur. Kłopoty b
tym wielkie. Celnicy na
zakwestionowali zgodnie
wem wywóz wojskowego m
ru. Pomogli w tym jednak
ści. Gdy go otrzymali, zaczę
kojnie myśleć o czekającej
za kilkadziesiąt godzin zaw

L. TARASIE

Pomyślnie rozwija się w „Krajobrazie” dyskusja czy skarbonkę z datkami na „Młodzieży” można było umieścić w kłote, czy też raczej gdzie indziej. Aktyw ZS w Giżycku powołuje się na ideowe kier-

Za bezbłędne rozwiazanie Kry-
tówik zamieszczonęj w „Gazecie”
nr 69 z 3 kwietnia br., nagrody
książkowe wylosowali: Władysław
Jadłowski z Głizyca, Jolanta Wa-
rowska z Goldapi, Eugeniusz So-
łowianik z Białogostoku, Wal-
demar Oprzałski z Orzysza oraz
Katarzyna Trzcińska z Pissa.
Nagrody przedmioty nagro-